Nr. 20. We Lwowie dnia 20. maja 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Z DZIEJÓW OŚWIATY LUDOWEJ
w Anglji.

Jednym z zasadniczych rysów charakterystycznych angielskiego społeczeństwa, jego inteligencji i klas, władzę dzierżących jest rychłe odczuwanie i zrozumienie zmiennych potrzeb narodu oraz względnie wczesne ich zaspakajanie.

Od czasu t. zw. wielkiej rewolucji w XVII. w., która skończyła się wygnaniem dynastji Stuartów, historja Anglji toczyła się bez gwałtownych wstrząśnień. Nie znaczy to jednak, iżby ustrój Anglji nie miał ulegać radykalnym zmianom. Ale wszystkie te przeobrażenia, czy to społecznej, czy politycznej natury odbywały się bez rewolucji i przewrotów.

A zauważyć trzeba, że przeobrażenia owe były i są bardzo istotne, sięgające do głębin ustroju społecznego. Utarte przekonanie o rzekomym konserwatyzmie Anglików da się zastosować chyba tylko do konserwatyzmu formy, ale nie treści. Nikt z takim zmysłem praktycznym, z takiem szybkiem zorjentowaniem się w nowopowstałych warunkach i potrzebach społecznych nie wyjmuje cegiełki po cegiełce z dawnych, uświęconych tradycją instytucji aż dopóki, prócz formy — w której składa się hołd winny tej właśnie tradycji — nie pozostanie nic starego.

Taką mniej więcej koleją szły w Anglji wielkie polityczne reformy bieżącego stulecia, dające się streścić w słowach: rozszerzenie prawa wyborczego i — co za tem idzie — częściowe przeniesienie władzy politycznej i jej punktu ciężkości od arystokracji i bogatej burżuazji do rąk szerokich mas.

Ale ten wielki zmysł praktyczny, który zaznaczyliśmy wyżej, i wysoce wykształcony instynkt polityczny podszepnęły Anglikom, iż jeżeli rozszerzenie praw politycznych nie koniecznie trzeba uczynić zawisłem od stopnia oświaty, na którym znajdują się masy, świeżo powołane do życia publicznego, to dla zdrowia politycznego narodu wielce jest rzeczą ważną, aby reformie politycznej, rozszerzeniu prawa wyborczego, towarzyszyło rozszerzenie oświaty.

Nie mamy zamiaru dawać na tem miejscu chociażby w najkrótszym zarysie dziejów oświaty ludowej w Anglji w ciągu bieżącego stulecia. Chcielibyśmy tylko pokrótce przedstawić historję tego osobliwego ruchu na polu oświaty ludowej, który nosi nazwę *University extension.*

University extension — nazwa cudzoziemska, której użyliśmy tu nie przez pretensjonalność jakąś, ale dlatego jedynie, że jak rzeczy, którą nazwa ta oznacza, społeczeństwo nasze nie posiada, tak i odpowiedniego wyrazu język nasz dotychczas nie urobił. *University extension* oznacza po angielsku dosłownie: r o z s z e r z e n i e uniwersytetu, jak zaś przekonamy się w dalszym ciągu, całkiem osobliwy system szerzenia oświaty, który w ciągu ostatnich dwudziestu paru lat znakomite uczynił postępy w Anglji, Ameryce północnej i za ich wzorem w Belgji i niektórych innych krajach.

Pod oświatą ludową rozumiemy zazwyczaj, prócz fundowania szkół początkowych (ludowych), zakładanie czytelń, wydawnictwo dziełek popularnych (do niedawna jeszcze wyłącznie historycznych lub ckliwo-moralizujących powiastek), pism ludowych tej samej treści, zrzadka odczyty dorywcze. Pod wszystkimi tymi względami Anglja nie ustępuje innym krajom Europy. Prześcignęła je ona wszelako na tem polu, bo już w połowie bieżącego stulecia zrozumiała niedostateczność podobnych usiłowań na polu oświaty szerokich mas. Anglicy zrozumieli, iż wszystko to są w znacznej mierze tylko surogaty prawdziwej oświaty.

C. d. n.

Z listów Pawła Józefa Szafarzyka.

(Dokończenie).

Ale nietylko w swych »Dziejach piśmiennictw słowjańskich« korzystał z wzorów i prac polskich. I nadal umiał zmysłem krytycznym wybrać z mnożących się wówczas pism historycznych polskich to, co mu wydawało się dobrem i przyczynić się mogło do rozświetlenia najdawniejszych dziejów słowjańskich, do których opracowania wnet po ukończeniu pierwszego dzieła przystąpił. W tym kierunku wysoko cenił Surowieckiego dzieło o dawnych Słowjanach i gdy doszedł w swych dociekaniach geograficznych do pewnych już wyników, pośpiesza n. p. donieść Kollarowi (1. października 1827), że ogłosi te wyniki tejże zimy jeszcze w formie dopełnień do dzieła Surowieckiego. Gdy zaś praca pisania tej »krytyki i dopełnień« postąpiła już znacznie, wyjaśnia (25. paźdz.), że »krytyka ta nie będzie wcale obalającą rzecz, lecz raczej potwierdzającą i rozszerzającą«, a mianowicie jedną rzecz rozwiąże stanowczo, do której Surowiecki miał wątpliwości pewne«, oto: czy ludy słowjańskie przed Prokopem (t. j. przed r. 55 po Chr.) były w Tracji i Illirji. Spodziewał się powiedzieć w tym względzie coś nowego i niespodziewanego; jakoż wiemy, że powiedział takich nowych rzeczy całe mnóstwo, gdy mu wypadło kontynuować dzieło, poczęte przez Surowieckiego, którego śmierć porwała przedwcześnie nauce naszej ku szczeremu żalowi Szafarzyka (prw. list z 31. grudnia 1827). Nie ujmuje też nic chwale Surowieckiego ta okoliczność, że już 10. marca 1828 doszedł uczony badacz czeski w swej krytyce do obalenia właściwie wszystkich dziejowych konstrukcji jego. Ale któż nie przyzna, że jeśli mógł wtedy już powiedzieć o sobie Szafarzyk, iż potrafi »z matematyczną dokładnością« dowieźć tego, co poprzednikowi było zagadką, to cząstka choćby zasługi spada też na naszego historyka, który do dociekań tych dał mu poważną pobudkę?

Mniej pochlebnie obszedł się Szafarzyk z głośnym później Lelewelem, którego dzieło, bliżej nieoznaczone, obok Karamzinowego przeczytawszy w dwu dniach, pisze 31. grudnia 1827: »Jakiż tu wszędzie chaos! Jaka niewiadomość! Karamzin ułatwił sobie bardzo pracę przez to, że nie chce nic słyszeć o Słowianach przed IV. wiekiem. W jego pojęciu zatem spadli tu, jak z buku, albo przylecieli, jak szarańcza, z północy! Lelewel zaś, zbyt śmiały dziejopisarz *miscet quadrata rotundis* (t. j. miesza czworograniaste przedmioty z okrągłymi)«.

Ks. Siarczyński wreszcie spotkał się już wprost z naganą Szafarzyka, którego, jako niekatolika, dotknęła nietolerancja tego zwykle przecenianego pseudo-historyka. Oto pisze o nim (30. października 1828): »Na Siarczyńskim zawiodłem się. Ten człowiek paliłby na stosie luteranów, gdyby mógł, — nie-katolicy są w jego oczach arcy-kacerzami... Ślepy więc na jedno oko, nie może drugiem ani wiele, ani dobrze widzieć. Jakoż w istocie praca jego jest bezkrytyczna — autorów klasycznych cytuje z cytatów i t. d. a stąd pochodzi, że cytuje słowa Plinjusza, Ptolemeusza i t. d., o których się tym ani śniło. n. p. zesz. I. 46... Szkoda, wielka szkoda!«

* * *

O wielkim interesie, jaki żywił uczony czeski dla spraw polskich, świadczą też usiłowania jego około zorganizowania kółka czytelników i prenumeratorów pism polskich, rosyjskich i innosłowjańskich. Zawiele miejsca zajęłoby wyliczanie odnośnych ustępów z listów; dość, że ostatecznie zgodzono się na »Pamiętnik Warszawski«. Nie wypada przy tej sposobności przepomnieć uczynności pewnego medyka, ktory zwał się Marjan Ogończyk Zakrzewski, studjował w Wiedniu i pośredniczył w przesyłce książek polskich i pism, nawiązawszy w niezwykły sposób znajomość z Szafarzykiem, bo listownie. Oto w imieniu 42 ziomków zwrócił się do uczonego czeskiego, którego niezmiernie ucieszył list ten i podana w nim wiadomość, że około 200 Polaków w Wiedniu zmarłego wówczas Ossolińskiego własnemi rękoma »zagrzebło« i łzami grób jego zrosiło (prw. list z 21. maja 1826). Od Zakrzewskiego otrzymał też Szafarzyk na pamiątkę »Sybillę« Woronicza z dopisanymi wierszami, które cenzura skreśliła; następnie przeszła ona w ręce Kollara, któremu się nader podobała (prw. list z 4. grudnia 1828).

Korespondencja Szafarzyka z Polakami nie ograniczała się jednak li do Zakrzewskiego i Bandtkiego (o którym wyżej była mowa), owszem musiała być obszerniejszą, skoro n. p. wspomina o listach, które ma pisać do Warszawy i t. d. Prawdopodobnie należał w owych czasach (przed r. 1830) do szeregu tych korespondentów i Linde, z którym spotykamy się w listach Szafarzyka, jako autorem »Kadłubka« i tłumaczem Grecza »Dziejów piśmiennictwa rosyjskiego«. W późniejszych czasach pozostawał uczony czeski w korespondencji z zarządem »Bibljoteki Ossolińskich«, której ślady stanowią zachowane tam autografy*

* Wiadomości tej udzielił mi dyrektor Zakładu, Dr. W. Kętrzyński.

tego poza-polskiego członka krakowskiego Towarzystwa naukowego. Bo i to należy podnieść, że zasługi wielkiego uczonego spotkały się u nas bardzo wcześnie z uznaniem, mianowicie Towarzystwo naukowe przesłało mu w r. 1828 dyplom na członka (prw. listy z 10. marca, 17. i 30. kwietnia oraz 8. czerwca 1828). Hołdu, należnego Szafarzykowi, nie odmawiano mu i nadal, po r. 1830, tak samo, jak i on nie zmieniał swego stanowiska wobec Polaków, i rzeczy polskie z równą bezstronnością omawiał w dziełach swych, jak dzieje innych ludów słowjańskich.

Dalej jednak śledzić tego nie mam zamiaru, bo musiałbym sięgnąć do dzieł samych, które zresztą są łatwo dostępne w polskich przekładach, a więc temsamem wychodzą po za ramy, zakreślone szkicowi, opartemu na korespondencji.

Dr. Fr. Krczek.

KAROLINA ŚWIETLA.

Obrazki z gór.

II. Bukiecik rozmarynu.

(Dokończenie)

Oh, tak! wygra, z pewnością wygra! Paweł patrzy na rozmaryn bez śladu uśmiechu na ustach. Namyśla się widocznie: chce jej się pozbyć, a nie wie jeszcze, jak do tego przystąpić.

— Słysząc dziś w kościele trzykrotne zapowiedzi Jontka i Weronki, byłem pewny, że mię na drużbę prosić będę — mówi poważnie. — Wpierw jednak nim przyrzeknę, chciałbym wiedzieć, jaka druchna poprowadzi pana młodego?

Ha, więc stanowcza chwila nadchodzi! Celce oddech zamiera w piersiach.

— Pan młody, będąc w smutku, nie chce sprawiać hucznego wesela ani mieć licznych weselników. Będzie więc jeden drużba i jedna tylko druchna.

— A tą druchną ty zapewne będziesz, ponieważ mi rozmaryn przynosisz.

Celka kiwa głową potakująco, ale co przy tem czuje, tegoby nigdy słowami wypowiedzieć nie potrafiła.

— W takim razie oświadcz Weronce, że jej za pamięć pięknie dziękuję, ale drużbować nie mogę — odpowiada Paweł tak spokojnie, jak gdyby to, co mówił, było najzwyklejszą rzeczą w świecie.

Mróz ściął wszystką krew w żyłach Celki.

— Tak wielkiej przykrości nie wyrządziłbyś chyba pannie młodej — szepcze zbielałemi, jak kreda, ustami.

— Z całego serca chciałbym jej usłużyć.

— Dlaczegóż więc nie przyjmujesz zaproszenia?

— Musiałaby być inna druchna.

Celka drży, niby liść osiki. A więc tam, na odpuście nic innego nie przywabiało go ku niej, jak ta piana zdmuchnięta?!

— Weronka nie chce żadnej innej, prócz mnie, na druchnę: chodziłyśmy razem do szkoły i teraz jednego dnia bez siebie obyć się nie możemy.

— Niech-że więc sobie kogo innego na drużbę wybierze.

Ostatnie słowa wymówił tonem tak ostrym, że przeszył niemi, jak nożem, serce dziewczęcia. A więc Cywkowa znała go dobrze, choć ona, szalona, sądziła dotąd w swej naiwności, że zna go lepiej, niż kogokolwiek na świecie.

Dotąd stała obok krzesełka, które jej Paweł przysunął, nie chcąc siadać wpierw, nim się wywiąże ze swego poselstwa; ale teraz usiąść musi. bo nogi pod nią się uginają. Nie chce jednak ukrywać przed Pawłem, jak bardzo na nim się zawiodła, niech wie, owszem, jakiego zdania była dawniej, a co teraz sobie o nim myśli. O siostrze młodej Cywkowej nie wspomni mu jednak, boć przecie nie na to została stworzona, aby być podnóżkiem wszystkich pysznych ludzi. Serce jej wzbiera coraz silniej łzami — po raz pierwszy i ostatni wypowie całą prawdę Pawłowi bez względu na to, czy mu ona miłą będzie, czy niemiłą.

— W czemże to i kiedy tak bardzo przed tobą zawiniłam, że mię chcesz wobec wszystkich poniżyć? — woła z bolesnym płaczem. — I jak możesz żądać, abym oznajmiła sama pannie młodej, że się mnie wstydzisz? Jakiem prawem zresztą możesz wyrzucać mi to, co nie z mojej wypływa winy? Wszak ani sam nie umarłeś jeszcze w dobrobycie ani twoje dzieci.

Paweł wpatruje się w mówiącą niepomiernie rozszerzonemi ze zdziwienia oczami.

— Ja miałbym cię ciebie wstydzić? Skąd ci to przyszło do głowy? Wszak powiedziałem tyle tylko, że skoro ty będziesz druchną, ja nie będę drużbował.

— A czy to co innego znaczy?

— Ma się rozumieć, że zgoła co innego.

— O sobie nic już nie powiem: skoro uważasz, żem ciebie niegodna, niech i tak będzie, nie myślę ani spierać się z tobą, ani cię przekonywać, bo nie mam do tego najmniejszej ochoty. Ale nigdy przeboleć tego nie potrafię, że chcesz taką hańbę ściągnąć na starych moich rodziców, którzy ci nigdy nic złego nie zrobili. Najbardziej wszelako to mię boli, żeś wydawał mi się zawsze w porównaniu do innych chłopców, jak dzień w zestawieniu z nocą, życie ze śmiercią, a tymczasem...

Twarz Pawła płonie znowu żywym rumieńcem.

— Prawdąż jest, co mówisz? — pyta, przysuwając się blisko, tak blisko, jak tylko może —

miałażbyś wistocie więcej życzliwości dla mnie, niż dla innych?

Zamiast odpowiedzi Celka rzęsistszemi jeszcze zalewa się łzami.

— I cóżeśmy temu winni, że jesteśmy ubogimi ludźmi? Wszak w ubóstwie już urodziliśmy się, a nie ściągnęliśmy go na siebie lekkomyślnością lub marnotrawstwem. Grzeszysz więc śmiertelnie, robiąc nam z tego zarzut. Nie sądź wszelako, aby twój ojciec miał być rozsądniejszy od mego ojczulka dlatego, żeś ty bogatszy, lub aby matka twoja była zacniejszą od tej biednej mojej matuli...

Paweł patrzy na Celkę takim wzrokiem, jak gdyby i sam gotów był płaczem wybuchnąć.

— Nie bądź-że znowu tak nierozsądną — uspakaja rozżaloną dziewczynę — wszak wiem dobrze, jak uczciwymi i prawymi ludźmi są twoi rodzice.

I za rękę ją ujmuje, ale ona wyrywa mu się gwałtownie i nie chce ani oczu nań podnieść, skoro się okazał tak zgoła innym, niż go sobie wyobrażała.

— O, nie mów lepiej! Wszak czynem dowodzisz najlepiej, jak cenisz ich cnoty i jakie masz dla nich uznanie, skoro tak pysznie się zachowujesz względem jedynego ich dziecka. A jeżeli nie ze względu na rodziców mię odtrącasz, to mi powiedz przynajmniej, coś o mnie takiego słyszał, że nie chcesz się publicznie przed ludźmi ze mną pokazać? Nigdy, jak żyję, z żadnym chłopcem nie przystawałam dla rozmowy, umykam im z drogi, owszem, na sto kroków; nie wdaję się też z nimi w żadne żarty na muzyce, lecz z każdym idę równie chętnie do tańca, jedynie-li ze znajomości, nie zaś z jakiegoś tam upodobania.

— Jak gdybym o tem wszystkiem lepiej, niż ty sama nie wiedział!

— Może więc przypuszczasz, że nie mam odpowiedniej sukni, aby iść z tobą za druchnę? Mylisz się w takim razie, bardzo się mylisz: sprawiłam sobie tego lata nową, z czerwonem ubraniem sukienkę, za pieniądze, które uskładałam w ciągu dwóch lat z przędziwa. Nie miałam jej ani razu jeszcze na sobie, bo chowałam na odpust. Każdemu, kto ją widzi, podoba się bardzo i gdyby krawiec nie obiecał pannie młodej wykończyć dla niej ubrania na jutro, byłaby ją u mnie odkupiła do ślubu. Możesz ją o to spytać.

— A gdybyś nawet miała jutro na sobie same jedwabie i szczere złoto, gdybyś głowę koroną przyozdobiła, szyję siedm razy najkosztowniejszym otoczyła łańcuchem, na każdy palec nanizała dziesięć pierścionków — ha, gdyby rodzice twoi byli królem i królową i obiecali mi dać za to w nagrodę największe dobra w swojem królestwie — i wówczas jeszcze nie poszedłbym jutro z tobą za drużbę! — zawołał Paweł takim głosem, że aż przepierzenia zadrżały.

Celka uchwyciła się za głowę, czując, że wszystko w niej się przewraca W jego głosie dźwięczy tylko uniesienie, nie zaś wzgarda lub szyderstwo, a w jego słowach... Mignęła jej przed oczyma łasiczka, jak lis czerwona, która tak dziwnie w nią się wpatrywała... zadźwięczało jej dalej w uszach tryumfalne pianie koguta... Czyżby dawna myśl szalona znowu miała nią opanować? O gdyby już trzymała w ręku owe dwie świece, gdyby je mogła na ołtarzu świętej Panienki zapalić!...

Paweł widzi jej zmięszanie, pojmuje, że dziewczę nie wie samo, co o nim myśleć i uśmiecha się tak filuternie, że mu te wszystkie białe jego zęby możnaby porachować.

— A więc niema w tem nic innego, tylko, żem dla ciebie za brzydka — mówi z westchnieniem biedna Celka, będąc już teraz pewną, że zgadła rzeczywistą przyczynę odmowy. — Dziwna rzecz, naprawdę, ta młoda Cywkowa nic nikomu nie daruje i co wie o człowieku najgorszego, to mu zaraz w oczy powie, a teraz właśnie spotkałam ją i chociaż mi to i owo wytknęła, a przecież najważniejszej rzeczy nie powiedziała.

— A cóż miała ci powiedzieć? Może to, żeś brzydka, ty? — woła znowu Paweł, a głos jego nietylko po izbie się rozlega, ale i w ogródku echem odbija. — Ktoby ośmielił się powiedzieć o tobie coś podobnego, temu tak spojrzałbym w oczy, że nader zwinnie odskoczyłby odemnie. Młoda Cywkowa zwłaszcza milczeć powinna, bo gdyby nie te szmatki, w jakie się stroi, toby człowiek na nią spojrzeć nawet nie mógł, ani na nią, ani też na jej siostrę. Są to dwie pawice, które budzą we mnie gniew, skoro tylko dojrzę je choćby zdaleka.

I ponownie usiłuje wziąść Celkę za rękę, co mu się teraz udaje, dziewczyna nie czuje już bowiem w sobie żadnej siły i obawia się, aby nie upaść.

— Śliczniejszej dziewczyny od ciebie, Celko, nie widziałem nigdy w życiu — mówi dalej Paweł z łagodną powagą — chociaż przez sześć lat włóczyłem się po świecie i w mieście uczyłem się rzemiosła... Kiedy patrzę w twoje oczy, kiedy tańczę z tobą lub siedzę obok ciebie, jest mi tak dobrze, jak gdybym był w raju. I czy zwróciłem kiedy uwagę na inną jaką dziewczynę? Powiedz sama, czyś słyszała o takiej, z którąbym znał się bliżej, do którejbym się zalecał? Od czasu, jak wróciłem do domu, dla ciebie jednej tylko mam oczy...

I Paweł nie wypuszcza już ze swej dłoni ręki dziewczęcia, tylko raz w raz przyciska ją sobie do piersi. Nie, nie może być, aby to, co mówi, było fałszem, bo w takim razie obłudą żyłby cały świat i wszyscy ludzie, razem wzięci, nie warci byliby tyle, co szczypta popiołu. A jednak Celka nieufnie jeszcze kręci główką.

— Rodziców moich wychwalasz — mówi — mnie także przygany nie dajesz, o stroje nie

dbasz, a jednak iść ze mną za drużbę nie chcesz. Musi w tem być osobliwszy jakiś kruczek.

— A tyś nie odgadła dotąd jaki?

— Nie...

— A jednak masz matkę, która słynie w całych górach z tego, że tłumaczy ludziom wszelkie znaki, wszelkie sny i przyszłość im przepowiada.

Celka nie może jeszcze zrozumieć, do czego to wszystko zmierza.

— Piękna mi, zaiste, prorokini, co tego nawet nie wie, że dziewczyna nigdy nie wyjdzie za mąż za tego, z kim stawała, jako druchna, na obcym ślubie, a jeżeli i wyjdzie kiedy pomimo przeszkód, to nie żyje z nim w zgodzie! Powtarzała mi nieraz matka nieboszczka, abym pilne dawał na to baczenie, stwierdzając zawsze słowa swoje przykładem. Wiem, że to przesąd, ale chociaż jestem za postępem, w tem jednem chcę starego trzymać się zwyczaju, choćby ludzie mieli śmiać się ze mnie. Nauczyłem się od lat najmłodszych szanować każde słowo matki, będę więc i w tem jej posłuszny. Dziwna, zaiste, rzecz, jak twoja matka może o czemś podobnem nie wiedzieć!

— Dlaczegożby znowu nie wiedziała — broni Celka matki, rumieniąc się sama, niby mak kraśny.

— A więc i ty o tem wiesz?

— Czemużbym wiedzieć nie miała?

— A jednak chcesz, abyśmy razem drużbowali?

— Potom tu przyszła, nie po co innego.

— A więc mnie nie kochasz?

— Tegom ci nie powiedziała.

— Czem - że więc wytłumaczysz swoje przyjście?

— Tem, że nie jesteśmy przeznaczeni jedno dla drugiego.

— Jakiż to mędrzec powiedział?

— Każdy ci to powtórzy.

— Co mi tam do ludzi! Niech sobie mówią, jak im się podoba. Ale zresztą nikt czegoś podobnego nie mówi, to ty sama tylko masz takie dziwaczne myśli w głowie.

— Wszak dobrze rozumiem, co jest możliwe, a co niemożliwe.

— Właśnie że nie rozumiesz, jeżeli tak mówisz. A może kogo innego masz w sercu i dlatego radabyś mnie się pozbyć?

— O milcz lepiej!

— A więc i ty nie mów, czego mówić nie należy.

— I w jakiż sposób toby się stać mogło? Ty masz chatę, pole, las, rzemiosło, a ja nie mam nic zgoła, ani na makowe ziarko.

— Właśnie dlatego, że coś mam, mogę pojąć żonę podług upodobania, nie oglądając się na posag. A tą, z którą się ożenię, nie będzie żadna inna, prócz ciebie, Celko!

— Nie igraj ze mną, Pawle! I tak już ogniste koła toczą mi się przed oczami, w uszach dzwonią dzwony, a każda kropla krwi burzy się w żyłach.

— I ty mię nie dręcz nadaremnie! Najlepiej będzie, jeżeli zabierzesz sobie swój bukiecik rozmarynu, włożysz go napowrót w chusteczkę i zwrócisz cały ten ładunek jak najrychlej Weronce, aby mogła obejrzeć się za innym drużbą na jutro. Jeżeli zaś nie chcesz oddać jej tego sama i powtórzyć moich słów, w takim razie będę ci z miłą chęcią towarzyszył, aby powiedzieć osobiście, że nie mogę jutro jej drużbować, bom się dzisiaj tobie oświadczył. Poproszę ją zarazem, aby się i o inną druchnę postarała, nie chciałbym bowiem, aby kto spojrzał na ciebie od tej chwili, a tem bardziej, aby cię ktoś obcy prowadził. Gdybyś była tak szczerą dla mnie, jak ja dla ciebie, nie omieszkałabyś przyznać mi słuszności i ślub nasz odbyłby się jeszcze przed odpustem.

— Nie wystawiaj mię na tak ciężką próbę' Pawle, bo to nawet bożej sprzeciwia się woli. To, czego chcesz, jest niepodobieństwem... Nie marzyłam o tem nigdy we śnie, nie pomyślałam w dzień. Rodzice nieraz gwarzą między sobą o tem, coby mię mogło w życiu spotkać dobrego, ale o tobie nigdy, przenigdy nie wspominali. Do końca życia nie pozwoli ci ojciec twój ożenić się z ubogą dziewczyną, gdybyś ją nawet pokochał.

— Nie powinnaś mieć co do tego troski najmniejszej: szkoda, żeś nie zastała go w domu, byłby ci sam powiedział, jak się na tę sprawę zapatruje. Niedalej jak onegdaj mówił mi właśnie: »Jakoś mi się zdaje, że ty, Pawle, świata nie widzisz za tą grabarzówną? Wszak to jej pomagałeś ciągnąć siano z gór? Patrzyłem na was z naszej łąki. Moje masz oczy, chłopcze. Gdybym miał tyle, co ty, lat i mógł wybierać, nie wziąłbym za żonę żadnej innej, tylko ją. Z dobrego pochodzi gniazda i tak przytem wygląda, jakby ją kto ulał z wosku«. Ale cóż to? ja ci się wciąż oświadczam i oświadczam, a tyś dotąd ani jednem słówkiem nie przytwierdziła temu, co mówię. Może wolisz kogo innego, a tylko nie masz odwagi tego wyznać, widząc jak bardzo mi jesteś drogą? Alboż ojciec nigdy ci nie mówił, jak staram się zaskarbić sobie jego łaski?

— Pawle, Pawle! raz jeszcze cię błagam, abyś Boga nie gniewał... I jakąż mogłabym ci dać odpowiedź? Wszak ty dobrze wiesz, że pozwoliłabym się chętnie ukrzyżować za ciebie...

I nie potrafiła już dłużej nad sobą panować: w głowie zakręciło się jej tak silnie, że padła prosto w wyciągające się ku niej ramiona Pawła.

Przed nimi, jak raz naprzeciwko okna, wschodził księżyc tak jasny, jakby ze szczerego był srebra wyrobiony; kędy prześliznął się tej nocy po niebie, tam zostawiał po sobie smugę różową...

* * *

Nie sama tylko Cywkowa śpieszyła w wigilję odpustu kuchmarzyć do matki — i za młodą stolarką bowiem, gdy przestępowała próg niziutkiej chałupki grabarzów, szła dziewucha, dźwigająca kosz rozmaitych rozmaitości. Mąż wstąpił później po Celkę, ale nikogo obcego ze sobą nie przyprowadził, bo ją samą tylko pragnął widzieć i jej tylko głosu słuchać. Mówiono o nim, że za młodą swą żonę byłby dał duszę, a zaprzeczyć temu nie śmiała nawet Cywkowa, wszak podczas zapowiedzi zamówił sobie taką muzykę, że o włos kościół nie runął.

— I któżby mi był powiedział w czasie żniw, że przed odpustem wyjdę za mąż i to za kogo jeszcze! — westchnęła szczęśliwa Celka, zasiadając do stołu obok męża naprzeciw rozradowanych rodziców.

— O, co do mnie wiedziałam jak najpewniej, że czas twoich zaręczyn krótko trwać będzie — zauważyła na to matka — przypomnij sobie tylko, że widząc jak żwawo ścierałaś stół po obiedzie, skorośmy tylko położyli łyżki, mawiałam ci zawsze: Przekonasz się, dziewczyno, że spadnie to na ciebie niespodzianie, jak piorun z jasnego nieba, no, i spełniła się przepowiednia moja...

Tłumacz. z czeskiego
M. W.

BŁĘKITNY NASZYJNIK.

(Z cyklu »Z dalekich lądów«).

(Dokończenie).

Wspaniałomyślność ta tak dalece olśniła biednego Sokomé'go, że nie przyszło mu nawet do głowy zastanowić się, dlaczego pan, dzieląc się z nim połową straty, nie podzielił się również naszyjnikiem, lecz zatrzymuje go na swą wyłączną własność?

Nie czuł się zdolnym w tej chwili do żadnego rozumowania, zresztą ponsowy naszyjnik ze srebrnemi trzęsidłami nie miał w jego oczach żadnej wartości, a nawet widok jego był mu poprostu wstrętnym. Byłby wolał raczej dotknąć się węża, niż tych krwawych pereł.

Pocieszony trochę, podziękował panu i ze spuszczoną głową wrócił do roboty. Tai, dowiedziawszy się, co go spotkało, uśmiechnął się złośliwie, ale według swego zwyczaju spluwał tylko i nic nie rzekł.

Tymczasem skończył się rok partji tabuńczyków z sąsiedniej faktorji i nastąpiła ich wypłata. Zdarza się często, że *boye*, nie znajdując wszystkiego, co im się podoba u swego pana, chcą poczynić niektóre zakupy gdzieindziej. Wtedy pan wydaje im kartki na pewną oznaczoną sumę towarów, a rachunki za nie załatwia z kolegą, naturalnie po cenach fabrycznych.

Wypadek taki zaszedł i tutaj i kilku z nich, pomiędzy nimi Tai, przyszło w charakterze kundmanów do faktorji, w której służył Sokomé.

Ajent zaprowadził ich do tej części składów, gdzie znajdowały się wyłącznie przedmioty na handel z krumanami przeznaczone. Więc najróżniejsze wyroby bawełniane i tak zwane *mad-asy*, więc koszule flanelowe, więc kolczyki, pachnidła, fuzje, brzytwy, siekiery, nożyczki, parasole, kapelusze, kłódki, blaszane kuferki, baryłki z prochem i ze śrótem, nie mówiąc naturalnie o zielonych skrzynkach z dżynem i oplatanych butlach z rumem, bo te są drogie każdemu murzyńskiemu sercu bez wyjątku.

Na wielkim stole pośrodku leżał w otwartem pudełku pąsowy naszyjnik, położony tu ot tak, na traf, przezorną ręką.

Zakupy szły żwawo. Tai, zasępiony, stał z boku, czekając, aż się jego towarzysze załatwią; tylko od czasu do czasu z wązkich jego oczu strzelał przelotny błysk i nozdrza rozdymały się lekko, gdy ajent niby od niechcenia temu lub owemu proponował nabycie naszyjnika, ale żaden nawet na niego nie spojrzał.

Tai przystąpił do stołu ostatni. Wybrał sobie pół tuzina koszul, parę dobrych kłódek i popielaty filcowy kapelusz.

— Massa — rzekł, wyciągając rękę — jabym kupił także ten naszyjnik.

Ajent żywo zwrócił się ku niemu. Przynajmniej jeden, który ma dobry gust.

— Ten naszyjnik? — powtórzył — owszem mój chłopcze. To prześliczna rzecz.

— Żaden z moich braci go nie chciał — ciągnął dalej Tai ospałym, stłumionym głosem — ale jabym go wziął. Ile on kosztuje, massa?

Ajent pomyślał, że jeśli na Sokomé'm, którego lubił, chciał mieć zysku czterysta dwadzieścia pięć, to na Taim, który mu był obojętnym, nietylko może, ale powinien zarobić pięćset trzydzieści. Inaczej, jakażby to była sprawiedliwość? Zważywszy zatem, iż wartość naszyjnika była już w trójnasób przeszło pokrytą dwumiesięczną pensją Sokomé'go, rzekł:

— Ten naszyjnik jest bardzo drogi. Wyjątkowo tylko mogę ci go odstąpić za trzy miesiące twojej pensji. Upewniam cię, Tai, że robisz doskonały interes. Gdybym go dla ciebie z umysłu sprowadzał, kosztowałby cię sześć miesięcy pensji. Rozumiesz?

— Rozumiem, massa — odrzekł Tai apatycznie — ale ja go za te pieniądze nie wezmę. Mogę dać tylko miesiąc pensji.

Ajent osłupiał. Krumani nigdy się prawie nie targują. Wiedzą, że ceny są stałe i po takich biorą. Tajemnica tak zwanych *articles d'occasion* jest im całkiem nieznaną.

— Jesteś wielki głupiec, Tai — rzekł, powściągając z trudem oburzenie. — Cóż ty sobie myślisz, że blady człowiek będzie zmieniał swoje słowo, jak lada buszman?

— Ja nic nie myślę, massa — odparł Tai, kierując się ku drzwiom — tylko nie mogę dać więcej, jak jeden miesiąc pensji, bo za wszystkie inne już wybrałem towarów.

Ajent cisnął mu pudełko.

— Masz! To poprostu darowane. Gdybyś nie był tak zuchwały, nie zapłaciłbyś ani jednego penny, chociaż i tak masz go tak dobrze, jak darmo. Daję ci go za ten jeden głupi miesiąc, żebyście wy, buszmani z Tabu, wiedzieli, jak biali ludzie są hojni!

— O tak, massa! ja im to powiem — upewnił go Tai z taką miną, iż ajent był bliskim wymierzenia mu policzka. Wstrzymał się wszelako, ale po wyjściu *boyów* rzekł do starszego clarka:

— To sprytne bydlę! Gdyby takich więcej było, musielibyśmy chyba zamknąć budę.

— *Oh yes!* — potwierdził clark, tak blady, że nawet jego piegi, jakiemi ma twarz obsypaną, zdawały się chorować na brak barwnika. — Na szczęście wielu takich niema!

Spełniły się nakoniec pragnienia Sokomé'go. Naszyjnik przyszedł, kropla w kroplę taki, jak go opisała Yanga. Sokomé długo mu się przypatrywał i ustawiał pudełko z nabożeństwem na dnie pustego jeszcze rozpaczliwie kuferka. Ale stracił już jakoś serce do wieczornych improwizacji przy ognisku, bo też, co prawda, żaden więcej wieprz nie padł w faktorji i nie było czem podnieść boskiej iskry natchnienia.

Gdy nadszedł czas ostatecznej wypłaty, Sokomé starał się wybierać takie przedmioty, któreby przedewszystkiem imponowały objętością lub liczbą i dzięki temu systematowi było mu prawie tak samo trudno domknąć wieko kuferka nad spiętrzonymi w nim skarbami, jak jego towarzyszom. Z bólem serca jednak musiał się wyrzec kupna fuzji, która była jego marzeniem, na własną rękę, i zaledwo na współkę z chorowitym Uaro mógł nabyć niewielką *damzanę* (oplataną butlę) rumu. Ale, jakby w nagrodę za te dwa ciernie upokorzenia spotkało go wielkie szczęście.

Pan, który po tak pomyślnych tranzakcjach z dwoma naszyjnikami jeszcze bardziej go polubił, podarował mu śliczny flanelowy garnitur, swoje własne *paydżames* (nocne ubranie) prawie nowe, w którem lękał się sypiać z tej przyczyny, że będąc zielonego koloru, bardzo podejrzanie farbowało. Ale Sokomé drwił sobie z nieznanego mu zresztą niebezpieczeństwa zewnętrznego zatrucia arszenikiem i nie wątpił, że gdy się ubierze w te bufiaste spodnie w białe i zielone paski i takiż kaftan, suto zieloną tasiemką naszywane, wszystkie *yunuby* oglądać się za nim będą, a Yanga będzie się pyszniła wspaniale ustrojonym mężem bardziej nawet, niż naszyjnikiem.

Czas podróży dłużył mu się niezmiernie, ale że wszystko kończyć się musi, więc i Sokomé doczekał tego błogosławionego dnia, kiedy wiozący ich okręt stanął znowu na pełnem morzu, wprost żółtego wybrzeża Tabu i zapiszczał całą siłą pary.

I oto znowu na lądzie robi się zamęt nieopisany, a młodzieńcy nasi, pięknie przybrani we flanelowe koszule, w jaskrawe madrasy i *cloth'y* dokoła bioder, w kapeluszach i fezkach na głowach, żeby sprawić wrażenie, stoją u bortu i zaczynają wrzeszczeć i machać rękami na widok odbijających łodzi, na których także machają rękami i także wrzeszczą, jak można wywnioskować z szeroko pootwieranych ust, bo zbyt wielka przestrzeń dzieli jeszcze witających i witanych, żeby się wzajem słyszeć mogli. Ale co to szkodzi? W końcu się usłyszą.

Usłyszeli się. Wrzaski zmieniają się w huragan; rój piróg otacza okręt. Niecierpliwsi, gardząc sznurową drabinką, skaczą z wysokiego bortu wprost w wyciągające się ku nim ramiona rodziny i przyjaciół, a za nimi, jak grad, lecą ich kuferki, i fuzje, i beczułki, i skrzynki, i cały ich dobytek i padają, gdzie co trafi: w pirogę to w pirogę, w morze to w morze, na głowę komu to na głowę.

Kapitan jest niecierpliwy człowiek i nie może sobie robić z ładowaniem krumanów wielkich ceregieli. Że tam sobie jaka baryłka prochu zamoknie lub w ogólnym rozgardjaszu i pośpiechu ten lub ów przedmiot pójdzie na dno, albo potrącona piroga wywróci się ze swoją załogą, że się przytem ci i owi poczubią i guza oberwą to już są drobnostki, jakiemi zaprzątając się, tak dostojny mąż ubliżyłby swojej godności.

On co najwyżej może z cygarem w ustach stanąć na pokładzie i dla dodania im animuszu krzyknąć:

— No! żwawo, bydło, żwawo. *Clear out!* (precz ztąd).

Sokomé w swojem *paydżames* skacze także do pierwszej lepszej pirogi. Ta czy druga, wszystko mu jedno, bo w żadnej nie widzi Yangi.

— Gdzie Yanga? — pyta zaniepokojonym głosem, ale wśród zgiełków i wrzawy nikt mu nie odpowiada.

Dobili do brzegu. Sokomé pozostawił towarzyszy witających się z tymi, którzy na okręt nie zdążyli i porwawszy naszyjnik z kuferka, pędem ku wsi pobiegł.

Droga wiodła koło chaty Tai'ego. Sokomé nie poznał jej, tak wyglądała czysto, a jej plecione, bambusowe ściany błyszczały, jak wypolerowane.

Ale gdzie mu tam było patrzeć na ściany! Przed chatą stała Yanga, tak piękna, że Sokomé doznał jakby olśnienia na jej widok... Czy tak wypiękniała przez ten rok, czy też wdzięki jej podnosił do tego stopnia... pąsowy naszyjnik, okalający jej szyję?

Sokomé stanął jak wryty... W jednej chwili zrozumiał straszną prawdę: Yanga była żoną innego!

— O Yango! — wykrzyknął — cóżeś uczyniła? Wszak przyrzekłaś czekać cierpliwie, aż ci przywiozę błękitny naszyjnik!

— Przyrzekłam — odpowiedziała Yanga spokojnie — ale nie wiedziałam, że przez ten czas zobaczę inny, który mi się bardziej podobać będzie.

— Ależ Yango! — zawołał Sokomé, czując, że mu się w głowie miesza. — Ten naszyjnik był moim. Massa go dla mnie sprowadził. Zapłaciłem za niego dwa miesiące służby. Nie chciałem go wziąć, boś mi powiedziała, że musi być koniecznie błękitny i przegradzany złotemi gwiazdami. Widzisz, trzymam go w ręku. Cztery miesiące służby mnie kosztował... A ty...

Yanga wzruszyła ramionami.

— Jesteś zanadto głupi, Sokomé — odparła. — Przypatrz-że się sam: czy podobna przy tym naszyjniku spojrzeć nawet na tamten?

I mówiąc to, zadzwoniła zalotnie srebrnemi trzęsidłami, opadającemi na jej krągłe piersi i wzgardliwie wydęła usta, wskazując na niepotrzebny już dar, jaki Sokomé trzymał wciąż w ręku.

Jego twarz zrobiła się prawie popielatą z czarnej, a w skroniach waliło jak młotem.

— I któż? — zaczął po chwili, ale nie dokończył.

W otworze wejściowym chaty ukazał się Tai. Położył rękę na głowie Yangi i patrzył na swego rywala, uśmiechając się z tryumfem.

— Witam cię, Sokomé — rzekł szydersko. — Może wnijdziesz do środka i zobaczysz jak piękne i mocne maty wyścielają moją chatę i ile oleju stoi w plecionych koszach? Yanga jest *nadto* dobrą żoną; miałeś słuszność wychwalać ją tak bardzo. Szkoda tylko, żeś się zawcześnie jej dobrocią cieszył. Widzisz, ja za ten naszyjnik zapłaciłem tylko miesiąc pensji i mam Yangę, a ty straciłeś sześć miesięcy pensji i możesz się na twoim naszyjniku powiesić, bo ci się na nic innego nie przyda.

Nigdy jeszcze Tai nie był tak wymownym, ale też mściwa radość dziwnie rozwiązuje usta.

— Powieś się, Sokomé — dodał po chwili — to jedyna mądra rzecz, jaką możesz uczynić. Spotkały cię trzy hańby, za które całe Tabu palcami wytykać cię będzie. Biały cię oszukał, *yunuba* cię zdradziła i twój współzawodnik natrząsa się z ciebie.

Po tych słowach Tai rozśmiał się głośno i wszedł do chaty, a za nim, śmiejąc się także, weszła Yanga, nie spojrzawszy nawet na nieszczęsnego Sokomé, który pozostał na miejscu, jak martwy, z opuszczonemi rękoma, z których sączyła się krew...

To perły szklane, konwulsyjnie ściśnięte w dłoni, pogniotły się i pokaleczyły mu palce...

Hajota.

Przegląd pism.

»Ateneum«. — Kwiecień 1895.

P. Méyet w »Sztambuchu matki Juljusza Słowackiego«, będącym własnością autora, znalazł między innymi nieznany wiersz, który Słowacki zapisał w sztambuchu Ludwika Spitznagla, swego przyjaciela i kolegi, o którym poeta w swym pamiętniku powiada, iż »był to kwiat piękny, który nie wydał owocu«. Jak wiadomo, Spitznagel w młodym wieku zakończył życie samobójstwem. Powtarzamy tu ów wiersz, podany przez p. M. po raz pierwszy w całości (dotychczas znaną była tylko jedna zwrotka, powtórzona przez Słowackiego w »Pamiętniku«).

Do Ludwika Spitznagla.

Ludwiku!... jak dwie gwiazdy podobne na niebie
Wiecznie nieznana siła oddala od siebie;
Tak i my na tej świata rozległej przestrzeni
Choć myślą, sercem blizcy — losem rozłączeni.

Wkrótce, gdy ci na morzu jutrzenka zaświeci,
Kiedy usłyszysz w żaglach lekkie wiatru tchnienie,
Pomyśl, że to ostatnie przyjaźni westchnienie,
Które na skrzydłach myśli aż za tobą leci.

Jeden, jeden nam tylko skarb teraz zostaje:
Myśl, która nie zna tamy i za sercem płynie;
Ona ciebie przeniesie w twe rodzinne kraje,
A mnie na brzegi Nilu, w Afryki pustynie.

Pozwól więc, pozwól bujać swojej wyobraźni,
Poświęć chwilę wspomnieniom i szczerej przyjaźni:
Niestety, jak dwie gwiazdy podobne na niebie,
Wiecznie nas przeznaczenie oddali od siebie.

P. Nossig-Próchnik w artykule p. t. »Kwestja kobieca w świetle nowszych badań bjologicznych« zapoznaje czytelników z treścią dzieła Feuilleta w tej materji.

Pełnym ciekawych cyfr o własności rolnej jest artykuł p. Weyleppa: »Z badań nad własnością rolną Królestwa polskiego«. Postaramy się główne ich rezultaty przedstawić w osobnem streszczeniu. *p.*

PRO MEMORIA.

22. maja 1819. Poddano cenzurze wszystkie dzienniki i pisma perjodyczne, wychodzące w Królestwie Polskiem.

23. maja 1776. Poległ na Madagaskarze w starciu z wojskiem francuskiem Maurycy Beniowski, konfederat barski, bohater słynnego poematu Słowackiego. Uszedłszy z Kamczatki, dokąd był zesłany, do Francji, a następnie wysłany przez rząd francuski na czele ekspedycji do Madagaskaru, obrany tam został przez krajowców królem.

23. maja 1865. Zginął na szubienicy w Sokołowie ks. Stanisław Brzóska, partyzant, dowódzca powstańców na Podlasiu. Przy pomocy patrjotycznej ludności miejscowej oddział ks. Brzóski stawiał najdłużej, bo do 16. kwietnia 1865, opór Moskalom.

26. maja 1831. Bitwa pod Ostrołęką nad Narwią, najkrwawsza ze wszystkich podczas rewolucji 1831. r. Poległo w niej 8 tysięcy żołnierzy i 270 oficerów.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.